OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA GOTÓWKĄ

50 GR

WIEM WSZYSTKO

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr. 15 Warszawa, Niedziela 18 kwietnia 1937 r. Rok II

Niesłychany skandal

Przygody Jugosłowian na gruncie warszawskim

Warszawa jest stolicą serc polskich, a gościnność jaką okazywała cudzoziemcom, a zwłaszcza pobratymcom słowiańskim, stała się już przysłowiową. O uczuciach słowiańskich naszej stolicy nawet nie należy wątpić.

W Warszawie, w roku jeszcze 1820 ks. Adam Czartoryski w liście do profesora Bobrowskiego projektował założenie Towarzystwa Polsko-Słowiańskiego. Pamiętajmy również, że przed powstaniem styczniowym w roku 1862 w murach Szkoły Głównej młodzież polska pod przewodem profesora Bolemira Kwieta pielęgnowała ideały braterstwa słowiańskiego, a później w latach ośmdziesiątych polska młodzież uniwersytecka pod kierunkiem późniejszych ministrów: Nowodworskiego i poety Miriama Przesmyckiego zakładała pierwsze kółka poznawania Słowiańszczyzny. W Warszawie też były wydawane pierwsze pisma, poświęcone słowiańskiej wzajemności, jak „Jutrzenka“ (1842). W syrenim grodzie organizowało się życie kulturalne kolonii słowiańskich, a przedwojenne zebrania towarzyskie „Besedy“ gromadziły elitę ówczesnego towarzystwa warszawskiego.

Gdy Polska powstała, a na froncie grały armaty i walczono z bolszewikami, Warszawa gościnnie przyjmowała emigrantów rosyjskich i ukraińskich, a tym ostatnim, działającym pod dowództwem Szymona Petlury, nie szczędziła poparcia i pomocy.

Kiedy rozpoczęto nawiązywać łączność dyplomatyczną z krajami słowiańskimi, w Warszawie, jako pierwsze wogóle (1921) powstało Stowarzyszenie Młodych Słowian, a w ślad za nim powstał długi szereg instytucyj, pracujących w duchu zbliżenia kulturalnego narodów słowiańskich.

Nic dziwnego więc, kiedy w 1910 r. przyjechała do Warszawy delegacja miast czeskich, Warszawa wylegla na ulicę, pierwsze wycieczki z Jugosławii i Bułgarii spotykały się u nas z nadzwyczajną serdecznością i więcej, niż braterską gościną.

Do takich manifestacyj należy zaliczyć pierwszą gościnę chóru białogrodzkich studentów „Obilića“ w Warszawie w 1925 r., a z dawnych czasów, jeżeli chodzi o Jugosławię przypominamy, że w murach warszawskich zamieszkiwał przed wyprawą wiedeńską ojciec federacyjnej idei słowiańskiej, wielki Jugosłowianin, kapłan i szlachcic chorwacki, ks. Juraj Križanić, że w murach warszawskich urodziło się pierwsze zetknięcie się Polski z Jugosławią, czy to przez korespondencję prof. Walentego Skorochoda Majewskiego z ojcem literatury serbskiej Wukiem Stefanovićem, czy to podróże do Jugosławii prof. uniw. warsz. Andrzeja Kucharskiego, czy przez pierwsze tłumaczenia serbskiej pieśni ludowej przez Lacha Szyrmę (redaktora „Kuriera Warszawskiego“), Bielowskiego, Gaszyńskiego i innych.

Nikt ze Słowian też u nas, a szczególnie w Warszawie, nie cieszył się i nie cieszy taką sympatią, żarliwą miłością i wprost bałwochwalczym uwielbieniem, co naród jugosławiański.

To też, kiedy Jugosławia okryła się żałobą po tragedii marsylskiej, w Warszawie wydano dodatki nadzwyczajne, a uczucia żałoby ogarnęły całe społeczeństwo. Na nabożeństwo za duszę ś.p. Króla Aleksandra przybyli nie tylko dyplomaci i rząd, ale z własnej inicjatywy przedstawiciele wszystkich sfer społeczeństwa.

W uczucia słowiańskie stolicy nigdy nie należy wątpić, ale należy wiedzieć, że obok prawdziwych towarzystw wzajemności słowiańskiej, działających szczerze i gorliwie, obok związków, których istnienie jest wyrazem naturalnej potrzeby ideowej i obok stowarzyszeń liczebnie silnych, a utrzymujących się z własnych funduszów, składkowych, oraz rozwijających energiczną działalność, istnieją jeszcze kapliczki osobliwego nabożeństwa i wzajemnej adoracji, liczne ligi tworzone sztucznie dla reprezentowania samych siebie lub na rozkaz zgóry i temu podobne towarzystwa „kanapowe“.

Te ostatnie nic nie robią, szkalują twórcze organizacje, a jak się da, wypisują fantastyczne artykuły w prasie zagranicznej i wypinają piersi... do orderów.

Niestety i tak jest. Musimy wyznać to szczerze.

FATALNA PROPAGANDA

Jakkolwiek jednak w stosunku do Jugosławii Polacy mają i okazują największej serca, propaganda jugosłowiańska w Polsce szczególnie szwankuje. Wydaje się na pokaz bibliotekę arcydzieł literatury jugosłowiańskiej, ale chyba dla setki przyszłych pokoleń, bo narazie szczupła liczba tych rozsprzedanych książek nie znajduje... poprostu w Polsce czytelników, bo czytelnik nie jest przygotowany do czytania arcydzieł... z zeszłego stulecia. Poprostu ten ktoś, kto występuje w roli częstującego, nie ma kontaktu z życiem i nie rozumie, ani potrzeb tutejszych i ani chce rozumieć najprymitywniejsze kanony dobrej propagandy.

Podczas, kiedy np. Czesi mają za sobą w Polsce kilkaset przynajmniej popularno-naukowych i informacyjnych broszur, mają szereg słowników, wiele podręczników do nauki czeskiego, i wiele, wiele książek o Czechosłowacji, Jugosłowianie mają przetłumaczone i z luksusem wydane „perły“ swej literatury.

Dla porównania stwierdzimy, że równa się to takiemu działaniu, jakby ktoś pojechał do Honolulu, gdzie o Polsce nie wiele wiedzą, i zaczął propagandę od wydania „Króla-Ducha“ lub „Sonetów Krymskich“. Nazywa się to po polsku trafić kulą w płot.

Stwierdzamy, że Jugosławię kochamy, ale jej nie znamy. Obok referatu kulturalnego jeszcze gorzej się dzieje z prasą, która wiadomości o Jugosławii czerpie z prasy rzymskiej, wiedeńskiej i innej.

Należy też stwierdzić, że jeżeli były i są błędy ze strony propagandy jugosłowiańskiej w Polsce, to nie wynikają one ze zbyt twardego gruntu, niechęci, obojętności warszawskiej lub braku dobrej woli, ale tylko z winy samych czynników jugosłowiańskich, które jakby nie życzyły sobie aktywności i są wyraźnie niezadowolone, gdy ktoś pragnie ideę wzajemności wyprowadzić z salonu pani rejentowej, czy pani profesorowej do szerokich warstw społeczeństwa i przepoić ją duchem demokratycznym...

To trzeba wyraźnie napisać, aby Białogród, a zwłaszcza p. premier dr. Stojadinowić wiedział, że w Warszawie powinien zagościć inny ład i czas najwyższy już odmłodzić i uelastycznić to, co zmartwiało, skostniało, zleniwiło się i trąci już uwiądem starczym...

Uwagi te mimowoli cisną się pod pióro, kiedy byliśmy świadkami niechlubnego przyjęcia, a raczej zaaranżowania wizyty jugosłowiańskiego chóru „Obilića“ w Warszawie.

Umyślnie je piszemy w nadziei, że uczciwa prasa jugosłowiańska głos nasz przedrukuje i w słusznym interesie rozwijania i pogłębiania przyjaźni obu narodów będzie się domagać, równie jak i my, większej aktywności w dziedzinie wzajemności kulturalnej polsko-jugosłowiańskiej.

Niech komitet, zainicjowany wizytą śp. min. Marinkowića, nie będzie tylko dwoma kartkami zapisanego i podpisanego papieru, niech komitet ten rzeczywiście pracuje i darzy sympatią tych, którzy faktycznie dla sprawy polsko-jugosłowiańskiej działają, a przestanie tolerować tych, którzy mają pozycję w t. zw. „towarzystwie“, ale którzy niczym innym legitymować się nie potrafią...

•

Dnia 9 kwietnia r. b., o g. 11-ej w nocy, lwowskim pociągiem przyjechała do Warszawy, złożona ze stu osób, wielka wycieczka studentów jugosłowiańskich, w składzie której przybył również i słynny chór studencki z Białogrodu „Obilić“. Chór ten jest znany Polakom, nie tylko ze swej pierwszej wizyty w Warszawie w 1925 r., ale z uczynności dla propagandy polskiej w Jugosławii, za co chór był odznaczony orderem „Polonia Restituta“.

Zdawałoby się, że wycieczka ta, której przewodniczył wielce zasłużony polonofil prof. uniw. Neszić, powinna się spotkać nie tylko z serdecznością, ale i z **wzorowym** pod względem organizacyjnym przyjęciem.

Niestety to tylko się wszystkim zdawało, bo wszystko było zaaranżowane jak najfatalniej. Wina za to nie spada bynajmniej na Polaków (to zn. na zw. ak. międz. zbl. „Liga“, z której ramienia dzielny student Paradowski wiele okazał woli i wysiłku), ale na jugosłowiańskiego referenta kulturalnego, który, orientując się w ciągu szeregu lat w możliwościach organizacyjnych stolicy, dwukrotnie odwiedzającego Warszawę delegata chóru p. Ziwanowića nie skierował do właściwych osób i instytucyj.

Dość zacząć te smętne opowiadania od stwierdzenia dziwnego faktu, że warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Jugosławii uchyliło się od... urządzenia przyjęcia „Obilićowi“.

Nolens volens kazano honory gospodarskie robić „Lidze“, która jest organizacją narzuconą, w której jest wszystko i wszyscy, ale prócz słowianofilów i która nie ma nawet na terenie akademickim naturalnego gruntu, a którą utrzymuje jedynie na powierzchni życia pomoc i autorytet mocodawców.

O przyjeździe chóru „Liga“ nie powiadomiła związków słowiańskich, nie powiadomiła również młodzieży akademickiej (tłumacząc się naprężoną sytuacją na uczelniach i zamknięciem organizacyj).

Rezultat był jasny: na dworcu prócz poselstwa jugosłowiańskiego, 5 osób z "Ligi", może jeszcze kilku ich kolegów, przybyła delegacja ze Stowarzyszenia Młodych Słowian a w niej, co jest niezmiernie charakterystyczne, przyjęła najwyższy udział grupa studentów bułgarskich z pp. Bałkańskim, Rajkowem i Bakałowem na czele.

NIEMIŁY INCYDENT

Zapomnieliśmy dodać, że na dworcu zdarzył się zabawny incydent. Przyjeżdżał tego samego dnia do stolicy chór węgierski elektrowni z Budapesztu. Warszawscy pracownicy elektrowni oczekiwali na Węgrów na dworcu w liczbie blisko stuosobowej delegacji ze sztandarem (o przyjeździe „Obilića“ tut. pos. jugosł. nie powiadomiło wielu organizacyj), Pierwsi przyjechali Jugosłowianie. Ktoś z pracowników elekrowni warszawskiej bierze ich za Węgrów i wita:

„Eljen Magyarszäg! Polak - Węgier dwa bratanki!“

(dalszy ciąg na str. 2-ej)

Od Wydawnictwa

Doszło do naszej wiadomości, że nadal grasują w Warszawie różni osobnicy, podający się za współpracowników „Wiem Wszystko“.

Prosimy też wszystkich naszych Przyjaciół i wszystkich tych, do których zwracają się rzekomi współpracownicy o legitymowanie ich.

Współpracownicy bowiem „Wiem Wszystko“ zostali zaopatrzeni w nowe legitymacje z datą kwietniową, podpisane przez redaktora i dyrektora administracji.

4 miliardy marek

Coroczny deficyt budżetowy Niemiec

Berlin. w kwietniu.

Ordynacja spółek akcyjnych, jak wiele innych doniosłego znaczenia ustaw gospodarczych, uległa nowelizacji.

Zawieszenie postępowania układowego dla spółek akcyjnych zdawałoby się jest drobną sprawą, bowiem odbyło się w pośpiechu, ale w rezultacie nie jest to tylko zarządzenie administracyjne. Zaprowadzenie rządów jednostkowych, a zniesienie walnych zebrań w spółkach akcyjnych, zmierza do zawoalowania jeszcze większą tajemnicą

działań przemysłu niemieckiego,

a poddania go skutecznej kontroli i dyrektywom wojska.

Drugim ważnym zarządzeniem na terenie spółek akcyjnych jest to, że każdorazowy prezes administracyjnej rady przedsiębiorstwa musi być zatwierdzany przez rząd. Zarządzenie to tym jest charakterystyczniejsze, że rząd poprostu

obawia się krytyki

akcjonariuszów na walnych zebraniach, że zarządy spółek udzieliły tak wysokiego kredytu państwu na wszelkiego rodzaju dostawy. Teraz już akcjonariusze nie ośmielą się żądać zwrotu udzielonych pożyczek, a np. prezesi banków akcyjnych będą musieli nadal

udzielać rządowi kredytów

z powierzonych im zasobów oszczędnościowych przez prywatnych ciułaczów.

Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. Wiemy więc, jak III Rzesza finansuje swe zbrojenia, jakim sposobem realizuje czterolecie inwestycyjno-produkcyjne i jakimi środkami stara się osiągnąć samowystarczalność.

Oto tajemnica, dlaczego Niemcy nie potrzebowały i nie potrzebują rozpisywać pożyczek wewnętrznych, bo samo państwo z prywatnych środków potrafi udzielić sobie kredytu.

W ten sposób również płaci się walutami lub złotem importerom zagranicznym za dowiezione surowce.

W ten sposób udzielono

55 milionów marek

kredytu firmie Gelsenberg-Benzin A. G., która w oparciu o metodę Fischer-Tropscha wyrabia benzynę z węgla. Ten sposób różni się od metody Bergiusa, stosowanej w zakładach Leuna tym, że Tropsch wymaga bardzo niskiej temperatury, zaś Bergius — bardzo wysokiej, a właśnie wysoka temperatura niszczy maszyny, narzędzia i ogólne urządzenie, natomiast metoda Tropscha jest i wygodniejsza i tańsza.

Budżet na czterolatkę gospodarczą jest preliminowany na 8 i pół miliarda marek, a więc 177 milionów marek miesięcznie. Suma ta ma wyczerpywać krajowy rynek finansowy bez uciekania się do pomocy zagranicznej. Mimo tego jednakże, rząd ma

długu krótkoterminowego 16 miliardów marek,

a jeżeli wziąść pod uwagę szalone wydatki na zbrojenia — to

NIEMCY COROCZNY BILANS ZAMKNĄ DEFICYTEM OKOŁO 4 MILIARDÓW. A ponieważ te pieniądze trzeba będzie pożyczać na wolnym rynku, więc coroczny niedobór wyniesie

około 5 miliardów.

Cały świat jest ciekawy, czy dr. Schacht poradzi sobie z tak wyjątkowymi ciężarami finansowymi.

Wiadomości, które krążyły na temat ewentualnego wystąpienia Niemiec z Międzynarodowego Banku Wypłat— okazują się prawdziwe. Potwierdził je

dr. Schacht

i ogłasza zarazem publicznie, że III Rzesza nigdy się nie zgodzi, aby obce państwa miały się wtrącać do prowadzenia interesów przez Reichsbank, a jeżeli zostaną w konwencji bankowej to jedynie wtedy, kiedy będzie Niemcom zagwarantowane pełne równouprawnienie. Co znów tyczy się obowiązków niemieckich, to o tym genialny pan dr. Schacht milczy.

Ostatnio Niemcy prowadzą rokowania z zagranicznymi dłużnikami t.z zw. Stillhalteabkommen i napewno będą się starali kapitalistom angielskim (60%), francuskim, szwajcarskim, holenderskim i amerykańskim tak przedstawić katastrofalny stan finansów niemieckich, aby tylko płatności znowu sprolongować na rok następny.

Jest to prawdą, że pierwotny dług 6.300 milionów marek spadł do 1 miliarda marek, a stopa procentowa spadła z 45 milionów marek na marne 27 milionów, ale wierzyciele zagraniczni coraz bardziej

tracą cierpliwość

i wciąż niemieckim czynnikom gospodarczym wypowiadają bezużyteczność przeogromnych wydatków na zbrojenia.

Kto chce poznać stan finansowy dzisiejszych Niemiec, niechaj tylko zliczy „końcówki" z t. zw. clearingów międzypaństwowych, a przekona się jakie to sumy są Niemcy dłużne zagranicy za towary, i surowce oraz środki żywnościowe.

Nie dziwmy się, że emigranci niemieccy mimo wszystko, kraczą złowróżbnie i wieszczą ewentualny krach finansowy.

Contra

---

dokończenie ze strony 1-szej

Następuje konsternacja. Jeden z Jugosłowian odpowiada z godnością:

„Nemtudo Madjaru. Nismo mi Madjari, mi smo Jugoslaveni".

Powstaje małe zamieszanie. Ale, że nieprawni organizatorzy nie mogą opanować sytuacji, więc Jugosłowianie stoją nieporadnie i po kilku minutach orientują się niemile, że Węgrów przyszła spotykać setka przeszło Polaków, a ich może kilkunastu studentów. Ten nieprzyjemny zgrzyt stanowczo nie można zapisywać na rachunek Polaków, bo ręczymy gdyby dobrzy organizatorzy sprawę przyjęcia ujęli w swoje ręce, na dworcu byłby tłok nie do opisania. W pierwszym rzędzie przybyliby na dworzec gremialnie studenci z domów akademickich, a następnie tak liczni przyjaciele Jugosławii.

Po bezradnym oczekiwaniu na dworcu wyprowadzono Jugosłowian do autobusów, a po rozlokowaniu ich do trzech wozów (obliczano skrupulatnie, bo musieli płacić) i po oczekiwaniu chyba trzech kwadransów, zdrożonych i zmęczonych przewieziono na kolację do Domu Akademiczek przy ul. Górnośląskiej...

ZABRAKŁO CHLEBA...

Goście jugosłowiańscy z lękiem wstępowali do Domu Akademiczek w obawie czy ich znowu jacy Węgrzy nie wyprzedzą. Ale tym razem omylili się, Węgrów nie było, ale przy skromnej kolacji zabrakło chleba i na wstępie swej gościny w stolicy Jugosłowianie musieli głodować.

Po kolacji, którą goście z chóru (odznaczonego orderem POLONIA RESTITUTA) za swoje pieniądze spożyli, Jugosłowian przeprowadzono do schroniska przy Gimnazjum im. Batorego.

Skromne posłanie wszystkim się podobało, ale przejmujące zimno wielu dało się we znaki... Raz zapomniano chleba, drugi raz zapomniano napalić w piecach, ale nie zapomniano razem z Jugosłowianami... ulokować Węgrów.

Jugosłowianie, którzy znaczenie przysłowia „Polak Węgier dwa bratanki" wyprowadzają historycznie ze znanej kooperacji wojskowej Chorwatów z Polakami w bitwach pod Wielkimi Łukami. Połockiem i Smoleńskiem, czuli się tak samo, jak my byśmy się czuli na wycieczce w Jugosławii, gdyby nam kazano nocleg mieć razem... z wycieczką dawnych członków H. K. T....

Następnego dnia odbyło się składanie wieńca na grobie Neznanego Żołnierza. Mieli składać wieniec o 12-ej w południe, ale znowu Węgrzy ich uprzedzają i nieszczęśni studenci białogrodzcy czekali smętnie godzinę prawie pod pomnikiem ks. Józefa Poniatowskiego.

Podczas składania wieńca, kiedy dyrygent chóru miał dać ostatnie wskazówki chórzystom (bowiem wykonali nad grobem pienia żałobne), podchodzi do dyrygenta paniusia i składa gratulacje imieniem jakiejś „kanapowej" organizacji... Dyrygent dziękuje i zapytuje:

Czym mogę Szanownej Pani służyć?

„Niczym" — odpowiada dotknięta zębem czasu dama.

„W takim razie dziękuję" zakonkludował białogrodzianin i pożegnał „przyjaciółkę" Jugosławii.

Na koncercie, jak na koncercie. Przyjmowano „Obilića" z entuzjazmem jak prawdziwych mistrzów.

Swego czasu Jugosłowianie ubiegali się o salę Filharmonii, ale ktoś ich w prowadził w błąd i poinformował, że sala jest wynajęta, podczas, gdy jeszcze nie była wynajęta. Śpiewali więc w wynajętej przez siebie sali Konserwatorium.

Reklama żadna, anonsowanie pominięto, żadnego chóru do współudziału w organizowaniu przyjęcia a szczególnie koncertu nie zaproszono i mimo zapełnienia sali, ponieważ Jugosłowianom kazano zapłacić za salę 450 zł. — ofiarowano im dochód w wysokości złotych trzech dosłownie.

Zważywszy, że bilety w pierwszych czterech rzędach były po 6 zł, a samej dyplomacji było ze 30 osób więc jakim cudem wypadł tak nikły dochód przy wypełnionej sali?... Wtajemniczeni mówili, że wielu było gapiów (tych wpuszczano przez tylne wejście, na co się oburzał jeden ze studiujących w Warszawie Jugosłowian p. dr. L. D.), a inni nietylko po 50 gr. kupowali bilety i siedzieli na pierwszych miejscach, ale, bez biletu wchodząc, rozpierali się po dygnitarsku w „dyplomatycznych" rzędach...

Jugosłowianie dopiero po koncercie zorientowali się, że deficyt ich pobytu w Warszawie uczynił poważną po przeliczeniu na dinary (walutę słabszą) sumę około 1200 zł.

ZDZIERSTWO

Najgorzej było z życiem. Płacić im kazano po 3.50 zł. dziennie i stołowano w Domu Akademickim, gdzie karmiono obiadem studenckim, za który studenci płacą bez żadnej łaski 70 gr. Zważywszy, że śniadanie mogło kosztować wraz z kolacją najwyżej 80 gr. — na cóż więc wydatkowano pozostałe 1 zł. 50 gr., skoro za zimne noclegi liczono: za pierwszy dzień 1 zł. a za każdy następny po 75 gr.

Członków chóru było 97 osób, a rachunki płacili wszędzie za 106 osób.

Prawdziwie serdeczną i żywiołową manifestację zgotowali dopiero braci jugosłowiańskiej mieszkańcy Domu Akademickiego przy ul. Grójeckiej. Tam dopiero zrozumieli, że serca młodzieży polskiej, chociaż biją w piersiach nie ozdobionych orderem św. Sawy, przecież niepodzielnie należą do nich i do ich ojczyzny Jugosławii...

Po świetnym przyjęciu w Katowicach i Lwowie, Jugosłowianie serca polskie znaleźli dopiero wśród mieszkańców Domu Akademickiego, gdzie europejskiej sławy chór zmuszano do wielokrotnego bisowania...

Tak było z „Obilićem" 1937 r. w mieście stołecznym w Warszawie, tak było w kwietniu, kiedy w kołach polsko-bułgarskich wrzała wielka praca nad przyjęciem podobnej wycieczki z Bułgarii, na której ugoszczenie jak się dowiadujemy, organizatorzy przyjęcia potrafili uzyskać z MWR i OP poważne subsydium (8 tys. zł.).

A Jugosłowianom nie tylko, że zabrakło chleba, nie tylko że było zimno podczas snu, nie tylko, że sprawiono niespodziankę deficytową (1.278 zł.), ale skłoniono w Konserwatorium do zapłaty rachunku... za prawo autorskie w kwocie 45 zł. t. j. prawie 300 dinarów... (sic!!??)

Na zakończenie zapytujemy, czy to były godne stolicy i poważne przyjęcie, czy też hocki-klocki niepoważnych albo nieumiejących sprostać zadaniu organizatorów.

Jesteśmy przekonani że gdyby Jugosłowianie odnieśli się do poważnych zrzeszeń i organizacyj, a przede wszystkim do bardziej doświadczonych w organizowaniu, przyjęcie wypadłoby o ile lepiej, a przynajmniej uniknęłoby się niemiłych zgrzytów.

Jugosłowian witałaby wtenczas na dworcu cała Warszawa. Koncertów chóru można byłoby organizować dwa: jeden w Filharmonii dla publiczności i melomanów, a drugi w Teatrze Wielkim jako poranek specjalnie dla delegacyj wszystkich szkół średnich (mamy w stolicy przeszło 100 szkół średnich), a pożegnalnym koncertem byłoby wystąpienie w Domu Akademickim. Noclegi i przyjęcia byłyby stanowczo lepsze i goście powróciliby do kraju swego z najmilszymi wrażeniami z Warszawy.

Ale szkoda, żeśmy na wstępie wspomnieli o pięknej przeszłości. Dante Alighieri powiedział: „Nessun maggior dolore che ricordarsi del tempo felice nella miseria", co należy przetłumaczyć po polsku, że nic boleśniejszego, jak śród nędzy wspominać o czasach szczęśliwych...

Tak się zakończyła mizeria Obilića, zgotowana przez... wygodnego informatora jugosłowiańskiego.

Nasredin Hodża.

„AUTOBUS"

Jedyne w Polsce czasopismo miesięczne, poświęcone trakcji autobusowej p. t. AUTOBUS, w ostatnich czasach zmieniło redaktora. Kierownictwo pisma objął młody, lecz zdolny dziennikarz p. Henryk Zadrożny. Pismo wydawane jest obecnie w pięknej szacie graficznej, oraz, pozyskawszy szereg współpracowników, znacznie rozszerzyło kręgi swych zainteresowań. Między innymi na wielki plus redakcji należy zapisać inteligentnie zestawianą kronikę krajową i zagraniczną. Zwłaszcza przy redagowaniu tej ostatniej zaprzestano korzystać z materiału ajencyjnego i dotarto do wszystkich ważniejszych organów bezpośrednich. W ten sposób AUTOBUS wśród polskich pism automobilowych stał się bezkonkurencyjnym czasopismem informacyjnym w zakresie i zagranicznych wiadomości motorowych.

St.

Smutne paradoksy

Niekonsekwencje życia gospodarczego Polski

Nasze sprawy publiczne mają to do siebie, że nie są publicznie roztrząsane, ale stanowią publiczną tajemnicę... Kraj, w którym aż się roi od polityków, cierpi już dawno na brak rządnych ekonomistów i myślicieli gospodarczych.

Trzeba bezstronnie przyznać, że w rozmowach prywatnych na porządku dziennym słyszy się bardzo trafne oceny życia gospodarczego. Ale te pojedyńcze głosy toną we wrzawie codziennych kłopotów i giną bez znaczenia.

Uczeni w piśmie, którzy zawładnęli rolami trubadurów ekonomicznych, tak już przywykli do rytualnego rozważania niedomagań naszego życia gospodarczego, tak bardzo ulegli krzyżującym się wpływom koteryj, a przede wszystkim grymasom „naszej“ finasjery, że nie słyszą, jak istotny vox populi domaga się coraz energiczniej wyprowadzenia kraju z impasu paradoksów i niekonsekwencyj gospodarczych.

Nie będzie to żadnym defetyzmem, jeśli śmiało i otwarcie wyznamy, że jakkolwiek od 1918 r. posiadamy niepodległość polityczną, którą okupiliśmy życiem i krwią naszych żołnierzy, nie mniej daleko nam do niezawisłości gospodarczej.

Zrywając z metodą pisania tasiemcowych artykułów gospodarczych, co niechaj stanowi dozgonny monopol uczonych w piśmie, rzucimy szereg uwag o paradoksach i niekonsekwencjach w naszym życiu gospodarczym.

JAK W KOLONIACH

Mamy „Ligę kolonialną“ i chcemy kupować od obcych kolonie, podczas, gdy sami w XX stuleciu stanowimy jeszcze kolonię pod względem gospodarczym dla różnorodnych międzynarodowych rekinów kapitalistycznych.

W egzystujących na terenie Polski, ale dalekich od polskości spółkach akcyjnych zagraniczni kapitaliści posiadają aż 72,6% udziału akcyj i zysków.

Najsilniejsi są Francuzi, reprezentując 27,1% udziałów i posiadając w przemyśle naftowym 136 milionów złotych, w górniczo-hutniczym 133 milionów złotych, a we włókienniczym 68 milionów złotych.

Amerykanie (pod tą maską kryje się wiele rekinów międzynarodowych) reprezentują w przemysłach górniczo-hutniczym 181 milionów złotych, a w naftowym 63,5 milionów.

Niemcy kontrolują w Polsce przemysł najbardziej związany z uzbrojeniem i angażowali się najbardziej w w przemyśle górniczo-hutniczym (90 milionów), w elektrowniach (50) i w przemyśle metalowym (12).

Belgowie (pod których firmą działają i Niemcy i nawet Anglicy) głównie zwracają uwagę na elektrownie (77 milionów) ale również w górnictwie i hutnictwie są zaangażowani na 29 milionów. w transportach i komunikacji na 27 mil., w przemyśle mineralnym na 16 mil. i t. d.

NIEDYSKRETNE PYTANIA

Ten sposób zaangażowania się obcych kapitałów w nasz przemysł surowcowy lub w elektrowniach jest o tyle groźnym dla całości i bezpieczeństwa naszego życia gospodarczego, że winien co prędzej wywołać odruch twórczy społeczeństwa. Afera żyrardowska Boussaców za pobłażliwy obrót przyjęła. Więc pozwólmy sobie na skrócenie rozważań i zamieszczenie szeregu pytań.

Czy, pracując nad rozbudową polskiego przemysłu, pomyśleliśmy o stworzeniu odrębnej organizacji tych przedsiębiorstw, których kapitały są całkowicie polskie (t. j. krajowe), i zautonomizowaniu, tej grupy przedsiębiorstw w łonie „Lewiatana“, gdzie wpływy kapitalistów zagranicznych są przemożne?

Czy równoważąc pod względem stawek podatku obrotowego przemysł (w ogóle) z rzemiosłem, nie popełniliśmy czasem pokrzywdzenia polskiego rzemiosła i polskiego drobnego przemysłu na rzecz molochów przemysłowych, będących w arendzie przeważnie kapitału zagranicznego?

Czy w trosce o dobro przemysłu — nie powinno się nałożyć na wszystkie spółki akcyjne obowiązku publikowania w Monitorze wykazów imiennych tych kierowników, których pensje wynoszą ponad 20.000 zł. rocznie, a także wszystkich tych, którzy z tytułu dywidend, rent i t. p. pobierają, z pensją czy bez pensji, ponad 20.000 zł.?

Czy nie powinno się ograniczyć ustawowo zatrudnienia w naszych przedsiębiorstwach cudzoziemców, a w szczególności tych, których uposażenie rocznie przekracza zł. 10.000?

KIEROWNICY FABRYK

Pan Minister Kwiatkowski pragnie pod wielu względami naśladować rzeczywistego odrodziciela życia gospodarczego Królestwa Kongresowego ks. Druckiego-Lubeckiego. To też do jego notatnika pozwolimy sobie na wpisanie następujących uwag:

Jak będzie wyglądać mobilizacja wojenna naszego przemysłu, skoro się nie myśli o pewnej ideowej obsadzie kierownictw fabryk, zatrudniających ponad 50 osób personelu?

Czyż nie warto byłoby w rejonie każdej z izb skarbowych stworzyć w porozumieniu z władzami wojskowymi referatów kontroli przemysłowej i dopilnować, aby we wszystkich przedsiębiorstwach odpowiedzialne stanowiska i kontrolę sprawowali polscy inżynierowie i technicy, a w pierwszym rzędzie niepodległościowcy i młodzi Polacy, zaprawieni uprzednio do pracy na rzecz państwa w organizacjach obywatelskich.

Gdyby wśród nas żył i pisał Stanisław Szczepanowski, ręczymy, że napewno by temu zagadnieniu poświęcił nie jeden odczyt i nie jedną książkę.

Jak się przedstawia kwestia bezrobocia wśród b. legionistów i niepodległościowców, czy też peowiaków? Wiemy, że ci ludzie stworzyli w Polsce „rządy po majowe“, że ci ludzie Polskę wywalczyli własną krwią i znojem i w obronie jej zawsze życie poświęcą, a więc już nie tylko ustawowy, ale i moralny obowiązek ciąży na każdym, aby tych ludzi zatrudnić.

Skarb, któremu najwięcej zależy może na gilotynowaniu bezrobocia wśród tej kategorii obywateli, ma wiele pod swą opieką instytucyj publicznych i prywatnych, które jakże po macoszemu odnoszą się do sprawy angażowania do pracy niepodległościowców.

Tow. KREDYTOWE ZIEMSKIE

Nie bądźmy jednak gołosłowni.

W Warszawie istnieje np. Towarzystwo Kredytowe Ziemskie. Udziałowcy tej instytucji powinni najbardziej być wdzięczni tym, którzy z bagnetem w ręku uratowali im w 1918-1920 r. majątki od zagłady i stworzyli byt, ale zatrudniają — wszystkich, byle nie niepodległościowców.

A jak się trafi jaki legionista, peowiak, czy kawaler Krzyża Niepodległości, to mu dadzą z łaski pozabiurówkę za 30 lub 50 zł., i uczynią pański gest...

Ale urzędnicy tej instytucji mają wysokie gaże, naczelnicy posiadają majętności, *a w towarzystwie pracują całe rodziny*. Czyż można tolerować tak jawne dysproporcje?

Podobnie jest w innych instytucjach. Ale zatrzymajmy się na podanym przykładzie.

W Tow. Kredytowym Ziemskim utarł się już zwyczaj kilka razy do roku zatrudniać do „najczarniejszych“ robót bezrobotnych inteligentów. PP. szefowie „zapraszają“ do tych prac kilka znajomych kuzynek (te pracują lżej), a gros zajęć wykonywują studenci. Takim się wyznacza mordercze „minima“ i to, powiedzmy, co wysokopłatni urzędnicy etatowi robili by miesiącami, wyzyskane studentki wykonają za grosze. Po pracy — nędza inteligencka spieszy do baraków piechotą, ale... stali urzędnicy jadą do domów taksówkami i dorożkami.

Byłoby ciekawym ustalić, jaki odsetek pracuje niepodległościowców, kawalerów „Virtuti Militari“, legionistów, inwalidów i jaki procent ogólnych uposażeń stanowią ich nikłe zapłaty?

To są źródła niezadowolenia, to są przyczyny malkontentyzmu, a przecież skoro Ministerstwo Skarbu pozwoliło ziemiaństwu tyle zarobić na konwersjach pożyczek i na obniżeniu stopy procentowej, to ma prawo wymagać od podobnych instytucyj, aby więcej troski przejawiały względem bezrobotnych legionistów, peowiaków, b. ochotników, a stanowczo nie tolerowały u siebie mężatek dygnitarzy, zarabiających dziesiątki tysięcy złotych rocznie.

SZWEDZKA KOLONIA

Walczymy z cenami, a zapałki są wciąż drogie, a chłop na wsi wrócił do hubki i krzesiwa. Czyż nie mamy rady na Szwedów?

To samo z telefonizacją? Liczniki wysysają z nas miliony rocznie, aparaty płyną z za morza, telefonistek więcej się nie zatrudnia, a pod względem liczby telefonów jesteśmy prawie na ostatnim miejscu w Europie.

Jeśli więc mowa o motoryzacji na użytek obrony państwa, to chyba nie można przemilczać telefonizacji naszych miast i miasteczek, a ułatwienia te nie wątpimy, że odbiją się pomyślnie na intensywności naszego handlu i przemysłu.

TURYSTYKA

Piszemy: popieramy turystykę. Pięknie brzmi, ale w praktyce jest zupełnie inaczej. Pozwalamy na panoszenie się różnych obcych biur podróży w Polsce i wywożenie naszych turystów do obcych krajów. Co się nie pisało o Wagons Lits Cook, a instytucja ta nadal korzysta z przywileju koncesyjnego i konkuruje skutecznie z ORBISEM.

Mało, że Cook nie dba o ilościową rekompensatę w przywożeniu do Polski cudzoziemców, ale w swych wagonach restauracyjnych stosuje obdzieranie turystów z zagranicy, licząc niewspółmiernie wysokie ceny za podawane jadło. A wśród konduktorów Wagons Lits Cook, iluż jeździ cudzoziemców?

Pytamy się wobec tego w jakim celu? Czy może p. pułk. Bobkowski nie może pokonać sprzeciwów z innych stron, aby doprowadzić do wytkniętego celu: upaństwowienia turystyki w Polsce.

A teraz aktualne historyjki: Czechosłowacy jeżdżą masowo tranzytem przez Polskę do Moskwy. Korzystają oni z dużych ulg komunikacji kolejowej.

Dawniej jednak zatrzymywali się na jeden dzień w Warszawie dla zwiedzenia, ale z nakazu rządu praskiego i życzeń sowieckich Inturistów przywozi się do Warszawy tylko na nocny spoczynek, by nazajutrz rannym pociągiem wywieść do granicy sowieckiej.

Czy na ten fakt zwróciła uwagę nasza propaganda zagraniczna i wydział turystyczny Min. Komunikacji?

Obsługa turystów z zagranicy wiele jeszcze budzi zastrzeżeń. Np. wśród personelu ORBISU mamy obcoplemieńców, rosyjskich monarchistów, a nawet córki czy kuzynki niemieckich komisarzy policji w czasie okupacji, ale jak najmniej zatrudnia się Polaków...

A teraz kwestia przewodników po Warszawie? Jest wśród nich pewien pokojowiec carski, wielu emigrantów rosyjskich, jakiś Ukrainiec, raz podający się za Rosjanina, a czasami za Polaka. a nie brak zupełnie obcych, ale niema niepodległościowców i b. polskich wojskowych?

ROSYJSKA EMIGRACJA

Tak się jakoś u nas dziwnie plecie. Najlepiej to chyba mają w Polsce... rosyjscy emigranci. Mężczyźni polokowali się na ciepłych posadach i bez trudu przyjmowali obywatelstwo polskie, a Rosjanki najczęściej wychodziły za mąż dla... obywatelstwa polskiego, poźniej się rozwodziły i dziś wiele tych pań pracuje w polskiej bankowości, tej rządowej, czy ziemiańskiej. Daremnie zaś kołaczą o pracę ci, co walczyli o niepodległość.

Zbliża się lato. Nasi możni, nasi panowie będą się rozjeżdżali na urlopy. Gdzie? Oczywiście do zagranicznych badów. Do jednej tylko Czechosłowacji przygotowano w biurach podróży w Polsce aż 5000 paszportów w cenie po 80 zł. każdy. Kto ma gażę w tysiącach, tego na taki drobiazg stać.

Czyż więc już dziś nie należałoby zorganizować społecznej akcji w kierunku przeciwstawienia się w zbytecznym marnotrawieniu grosza na kosztowne jazdy do zagranicznych badów i propagować skuteczniej polskie letniska i uzdrowiska.

Gdyby więcej myślano o paradoksach naszego życia, a więcej we wszystkim przejawiano konsekwencji, nie było by tyle biedy i budżet z roku na rok mielibyśmy zrównoważony i wywalczylibyśmy wreszcie swą niepodległość gospodarczą. P.

Przez obce okulary

„Reichpost“ podając analizie stosunki Watykanu z państwami Małej Ententy, wskazuje, że Czechosłowacja przeszła już od pertraktacyj od modus vivendi do stanu trwałych stosunków poprawnych, że Jugosławia doprowadzi mimo wszystko konkordat do skutku, a delikatność taktyki żywiołów katolickich w Chorwacji osłabiała opozycję ortodoksów białogrodzkich, wreszcie w Rumunii rząd coraz więcej opiera się na katolikach, a ostatnio ustawowo rozwiązał loże masońskie.

„The Nation“ — periodyk amerykański zastanawia się nad rozmiarami zbrojeń niemieckich i twierdzi, że niema takiego w Europie, ktoby znał wszystkie tajniki zbrojeń niemieckich. Pismo pisze, że Niemcy łożą olbrzymie miliony na zbrojenia, robią wszędzie, gdzie się tylko da, długi, a nawet posuwają się do konfiskowania cudzego majątku. Niemcy są tylko powodem powszechnych zbrojeń. *Politicus*

Śladami Prus

Antypolskie wyczyny Pragi

„Wiem Wszystko" było jedynym w Polsce pismem, które najwszechstronniej oświetliło aferę z antypolską książką Szeby i bez żadnego skrupułu zdemaskowało perfidię czeską. Dalecy od jakiegokolwiek rewizjonizmu, popierania interesów agentur obcych i dybania na całość republiki czechosłowackiej — atakowaliśmy nielojalność czeską i antypolskie wystąpienia. Książka Szeby była i będzie na długie lata dowodem złych zamysłów czeskich względem Polski.

Przestraszeni jednomyślnym oburzeniem rządu i społeczeństwa polskiego, Czesi zreflektowali się i postanowili za wszelką cenę salwować się z nieprzyjemnej sytuacji. Minister spraw zagranicznych Czechosłowacji Krofta, wobec stwierdzenia przez polskiego viceministra Szembeka, że książka Szeby posiada rzeczywiście antypolski charakter, wystąpił z obroną Szeby wobec forum komisji spraw zagranicznych sejmu praskiego.

PRZEMÓWIENIE MINISTRA

Na wstępie swego przemówienia min. Krofta (cytujemy podług sprawozdania Lidovych Listu z 12. 3. rb.) zastrzegł się jak najkategoryczniej przeciwko identyfikowaniu poglądów Szeby z poglądem czeskich kół oficjalnych i w dłuższym wyjaśnieniu sumitował się, że udzielona przez ministra przedmowa do książki nie jest równoznaczna z aprobatą poglądów politycznych Szeby. Sam p. Krofta zresztą przyznaje, że *„liczne braki w używaniu źródeł, i pod względem ich wyboru i opracowania"*, jak również *„pojmowanie przez Szebę wielkich wydarzeń historii światowej nie jest pod wielu względami ani głębokie ani też krytyczne*.

Z kolei minister czeski zaatakował polskie koła polityczne, że nie potępiły prac Studnickiego, Bobrzyńskiego, Stapińskiego, Zwierzyńskiego it.p., zapominając, że 1) w Polsce panuje wolność przekonań, 2) że żaden z wymienionych psarzy nigdy nie miał wpływu na polskę politykę zagraniczną, a z poglądami germanofilskimi nie zgadza się 99,99% ogółu społeczeństwa naszego, 3) że były to wszystko głosy prywatne, podobne do przemówień w londyńskim Hyde Parku, których nikogo nie wzruszają.

W drugiej części swej repliki minister Krofta bardzo energicznie bronił Szebę i dowodził, że jeśli drobne ustępy książki i pojedyncze cytaty mogły się Polakom nie podobać, to jeszcze to nie świadczy, aby całość książki była antypolska.

Nie warto jest streszczać tych arcydyplomatycznych oświadczeń, ale jedynie zwrócić uwagę na dwa końcowe momenty przemówienia. Oto minister Krofta twierdzi, że Szeba w żadnym miejscu książki nie czynił z granic polskich kwestii otwartej, a natomiast Polacy bardzo często popierali rewizjonizm.

NASZA ODPOWIEDŹ

Ten ustęp przemówienia zniewala nas do udzielenia p. ministrowi Krofcie i jako politykowi i jako historykowi stanowczej repliki, aby bardziej w przyszłości kierował się husyckimi zasadami poszukiwania prawdy.

P. Szeba, mówiąc o konieczności wspólnych granic Czechosłowacji z ZSSR, myśli oczywiście, aby się to odbyło kosztem Polski i Rumunii. Jakżeż by się inaczej to stać mogło? Nawet uczniak pierszej gimnazjalnej doskonale wie, że Polacy graniczą bezpośrednio z Rumunami i jeżeliby Czesi chcieli uzyskać wspólną granicę, to inaczej do ZSSR by geograficznie nie przylgnęli, jak przez Bukowinę, Besarabię, część Małopolski Wschodniej, Podole i Wołyń. Czesi oddawna o tym myślą. Dlatego to popierali i karmili przez długie lata irredentów ukraińskich, a obecnie flirtują z bolszewikami.

Ale skoro p. min. Krofta ma krótką pamięć, więc mu przypominamy o publikacjach w Czechosłowacji wydanych a wymierzonych przeciwko Polsce.

Taką słynną publikacją ostatnio było dziełko Jaroslava Vozky, redaktora „Wolnej Myśli" i członka redakcji dziennika „Narodni Osvobozeni", gdzie siedzą legionarze i wszyscy beneszowcy na czele z Lwem Sychrawą. Tego Vozkę później publicznie rehabilitował poseł Vojta Benesz, który piastował nawet mandat prezesa Towarzystwa Czechosłowacko-Polskiego w Pradze. To fakt. Prosimy zaprzeczyć.

CZESKIE WYDAWNICTWA

Niepodobieństwem byłoby zliczyć czeskich książek i broszurek w sprawie czeskości rzekomej Śląska Cieszyńskiego, a dowodem jak dalece są Polacy tolerancyjnymi, niechaj posłuży fakt, że chociaż redaktor Hejret z Narodni Politiky pisał przeciw Polakom broszurkę „Nasze Tieszinsko", a syn jego angażował się w podobnej publikacji śląskoznawczej przeciwpolskiej przecież nie było sprzeciwów przeciwko jego przyjazdowi do Warszawy w charakterze attaché prasowego poselstwa Czechosłowacji. To fakt.

Skoro jednak historyk czeski a obecny minister Krofta nie przypomina sobie żadnej publikacji czeskiej, wymierzonej przeciwko polskim granicom, podamy za niego informację o jednej z wielu charakterystycznych.

Oto na schyłku 1918 roku już po niepodległości — jak to podano w broszurze Bronisława Warszewickiego „Polacy i Czesi" (Warszawa, 1935), a którą to — dziś stosunkowo rzadką publikację, radzimy przeczytać i p. min. Krofcie i p. min. Slavíkowi — niejaki HANUSZ HUFFNER w księgarni Springera w Pradze wydał książkę p. t. „Nasz staat a swietowy miir".

Na wszystkich 5 mapach, dołączonych do broszury omawianej, granica czeska obejmuje Cieszyn i wielkie tereny poza nim i dochodzi niemal pod Kraków. Natomiast czesko - niemiecka granica biegnie wzdłuż Odry i tworzy na podobieństwo dzisiejszego Cieszyna z Wrocławia (Breslau) połowiczne miasto czesko-niemieckie. Ale na tej samej mapie (n. 2) Grodno i Wilno umieszczono w granicach Litwy.

Najkapitalniejszą jest mapka nr. 4, z której dowiadujemy się o pobożnych życzeniach Czechów: aby centrum Związku Słowian mieściło się w Pradze, aby Warszawa z całą Słowiańszczyzną komunikowała się tylko za pośrednictwem Pragi, która łącząc Bałkany przez Kijów bezpośrednio będzie się komunikowała z Moskwą. I na tej mapie stolicą Litwy jest Wilno.

Takich kwiateczków można nazbierać cały bukiecik. Ale poco, czyż w Polsce kogokolwiek trzeba przekonywać, że przyjaźń Pragi dla Warszawy jest wątpliwa? To już dzieci wiedzą w szkołach, a kto tylko zacznie z Czechami współpracować, to sam się doparzy. Bo, proszę taki przysięgły czechofil, jak red. K. Kierski, potępiając swego czasu nadużycia wyborcze Czechów na Śląsku, przecież pisał: *„Ktoś w czechosłowackim ministerium spraw wewnętrznych pozazdrościł laurów Prusakom, którzy swego czasu wymyślili* narodowości kaszubską, mazurską i śląską". (vide: książka pt. „Problemat cz. Poznań, 1931, s. II.).

Ale nic pomogą i przekonają nas obrony min. Krofty, bo czy Vozkovi, czy Kramarzowi swego czasu, czy Szebie i wszystkim dziś sowietofilskim Czechom majaczy się wciąż — jak to trafnie ongiś spostrzegł nasz publicysta Franciszek Rawita - Gawroński — bardzo bogaty, pyszny i próżny wujaszek, którego można było doić jak krowę, zawracając mu pustą głowę miłością słowiańską"...

Tak, jak to potrafią robić Czesi, aby jedną grupkę odkomenderować do śpiewania nad grobem carskiego generała „Boże cesarza chroń", a znów w śródmieściu najwiekszego kina urządzać przy udziale właśnie posła Vojty Benesza akademie na cześć bolszewickiej Hiszpanii i akademie czesko-sowieckie, to tylko potrafią robić nad Wełtawą. A w jakim celu? Chyba, po to, aby pozostać w izolacji!

SŁUSZNE STANOWISKO

Jakby w odpowiedzi na, bez wielkiego powodzenia wygłoszoną filipikę szebowską, odpowiedział min. Krofcie poczytny tygodnik w Pradze p. t. „Narodni Pravo". Zamieścił on cykl artykułów p. t. „Kde je pravda ve sporu polsko-československém?".

Słusznie twierdzi „Narodn Pravo", że *„główną przyczyną swarów polsko-czechosłowackich jest gwałcenie polskiej mniejszości na Śląsku Cieszyńskim"*. Co do książki Szeby tygodnik podnosi jeszcze szczegół nieznany, że książkę Szeby w organie półoficjalnym „Lidove Noviny" uznano za *najlepsze dzieło czeskie* doby współczesnej. Tygodnik zupełnie się nie dziwi, że Polacy w książce dopatrzyli się obrazy i uważają poglądy w niej zawarte, za program oficjalny rządu i społeczeństwa czechosłowackiego.

„Narodni Pravo" podkreśla z innych szczegółów, że książka Szeby nie uznaje egzystencji na Śląsku Cieszyńskim autochtonów polskich, że wywołała ona już powszechne oburzenie polskiej mniejszości w Cieszyńskim, że przyczyniła się do jeszcze większej izolacji Czechosłowackiej i wzmożenia wrogich nastrojów zagranicą, że jest dalszym ciągiem kampanii antypolskiej, zapoczątkowanej przez Jarosława Vozkę i że jest dowodem, że jej autor jest *„stuprocentowym analfabetą politycznym albo jest ślepym i głuchym"*. O dalszym rozwoju wypadków w związku z wystąpieniem Nowaczyńskiego i reakcją Slavika wspomniane pismo pisze dosłownie:

„Panu Nowaczyńskiemu znowu odpowiedział nasz warszawski poseł dr. Slawik, który „gorliwy", lecz dotychczas nie umiejący nawet dobrze po polsku attaché prasowy Hejret junior, posłał szybko wszystkim naszym dziennikom do publikacji jako przykład „pospiesznej" reakcji pana posła. W tym nieszczęsnym i wysoce niewłaściwym liście poseł Slawik usiłuje usprawiedliwiać Szebę, porównywaniem jego książki z pracami Studnickiego, Cosbana, Bobrzyńskiego i Janowicza, którzy atakowali Czechosłowację. List posła Slawika pisma polskie określiły jako wielki nietakt czechosłowacki względem Polski".

Wyliczając błąd za błędem ze strony czeskiej „Narodni Pravo" informuje o kilku wydaniach książki Szeby (podczas, kiedy naszą prasę ATE karmiła plotką o wycofaniu książki z rynku księgarskiego) i potępia pomysł użycia jako pośrednika między Polską a Czechosłowacją wnuka... Marksa i oburza się na litanię antypolskich wyczynów Pragi na Śląsku Cieszyńskim.

Dodać trzeba, że o ile w umiarkowanej prasie czesko-narodowej książka Szeby spotkała się z najwyższym potępieniem, o tyle katolickie stronnictwo czeskie ks. Szramka poszło w ogonie min. Krofty.

Mamy u nas Porozumienie Prasowe Czechosłowacko-Polesie, ale nikt z tych panów, dotychczas nie domyślił się, że trzeba oświadczyć publicznie, iż wobec takich skandali porozumienie już nie istnieje. Czyżby tym panom zabrakło odwagi cywilnej? Więc przypominamy publicznie.

Wtajemniczony.

A. STARŻA

Ataman Chmara

Sylwetka politycznego karierowicza

(Dokończenie)

O sprawie białoruskiej dziś się nic nie mówi i nie pisze, spodziewając się, że to metoda najlepsza. Polityka strusia jest jednak krótkowzroczną polityką, a tymczasem rośnie pokolenie inteligencji, które mimo pozornego spolszczenia, pielęgnuje w sercu ideały Wallenroda.

My, Polacy, którzy mamy tak wspaniałe tradycje w wolnościowym ruchu białoruskim i przepiękne karty w literaturze polsko-białoruskiej, zważywszy, że Białorusini są mimo wszystko elementem spokojnym i państwowo-twórczym, powinniśmy znaleść drogę do serc Białorusinów i pozyskać ich po dobrej woli dla sprawy Państwa Polskiego.

Mińsk i jego komunistyczni wysłannicy nie odegrają żadnej roli, o ile tylko polska inteligencja zainteresuje się losem białoruskim i pospieszy temu spokojnemu ludowi z pomocą braterską.

Ci wszyscy, którzy zwiedzali kresy litewsko-białoruskie, ci wszyscy, którzy pragną realizować prawdziwie testament Wielkiego Marszałka, sięgną do skarbnicy ideałów Jagiellońskich, zwłaszcza, że pamięć Marszałka Piłsudskiego wśród prostego ludu białoruskiego otoczona jest legendą, a zasługi Wodza Narodu Polskiego są wyjątkowo czczone.

Białorusin to bliski nam brat na Wschodzie.

Pójdźmy tam, aby raz na zawsze sparaliżować prowokacje Kowna i Mińska i ich kiepskich najmitów w rodzaju pseudo-białorusina Chmary.

* * *

Do prac polskich o Białorusinach dodajemy nasz szkic polityczno-wojskowy, który oby zapoczątkował poważne i szersze badania w tym zakresie.

Stanowczo za mało wiemy czym byli i są Białorusini, których należy pozyskać sercem i umysłem dla dobra sprawy słowiańskiej.

Tydzień ubiegły

Służba śledcza naszej policji poszczycić się może dużym sukcesem. Wykryła mianowicie świetnie zorganizowaną fabryczkę fałszywych pieniędzy.

Fakt może napozór banalny. Fałszerzy spotyka się dużo.

Nie banalnym, nie codziennym jest jednak zespół ludzi, którzy zorganizowali fabryczkę fałszywych monet.

Któż to bowiem wpadł na ten pomysł? Czy może jakiś notoryczny kryminalista? Osobnik, który stale znajduje się w kolizji z kodeksem karnym? Osobnik, dla którego pobyt w więzieniu nie jest nowością?

Nic podobnego!

Aranżerami fabryki fałszywych pieniędzy był młody ziemianin, warszawski przemysłowiec i jubiler.

Nie byli to ludzie, których nędza zepchnęła na drogę występku. Nie byli to ludzie, po których nie było można się spodziewać dobrego wychowania i zasad etycznych.

Nie.

Inicjatorami konkurentki mennicy państwowej byli ludzie napozór poważni, ludzie szanowani, jeśli nie dla swych osobistych zalet, to już choćby ze względu na stanowiska, jakie piastowali w społeczeństwie.

Piszemy „napozór poważni", gdyż trudno nazwać naprawdę poważnymi indywidua, które zdecydowały się wstąpić na drogę występku, mając utorowaną drogę w życiu, swą dotychczasową pozycją materialną.

Występek tych trzesh osobników, ludzi trzech kategorii: ziemianina, przemysłowca i jubilera, jest w istocie potworny.

Ludzie ci bowiem, musieli wstąpić na tę drogę z całą świadomością potworności swego postępowania.

Nie do pomyślenia przecież jest fakt, aby ludzie, stojący na pewnym poziomie, jeśli nie intelektualnym, to wykształcenia, nie zdawali sobie jasno sprawy ze swych postępków.

Chcieli zdobyć pieniądze. Za każdą cenę, każdą drogą. Każdy środek prowadzący do celu, był dobry.

Zwróćmy jednak uwagę, że wszyscy ci trzej wspólnicy-fałszerze, dysponowali zawsze w swym życiu dużą fortunę. Jeden z nich przecież był jednak właścicielem majątku ziemskiego, drugi miał dobrze prosperującą fabrykę, a trzeci wreszcie też nie mógł narzekać na brak klientów.

Wszyscy zatem trzej posiadali duże środki materialne. Środki doskonale zapewniające im nietylko wygodne życie, ale nawet pewien zbytek.

Mimo to, ludzie ci zdecydowali się na popełnienie nikczemności tak względem swego Państwa, jak i społeczeństwa, wśród którego żyli i z którego żyli.

Fakt ten nie jest błahym. Fakt ten głębiej każe się zastanowić.

Zwłaszcza, gdy widzimy coraz częściej ludzi na wysokich stanowiskach, ludzi, niejednokrotnie, posiadających duże fortuny, a jednak rzucających się na przedsięwzięcia, stojące w kolizji z dobrem społeczeństwa.

Rozkład moralny wśród naszego społeczeństwa dochodzi do zenitu — oto wniosek z wielkiego sukcesu policji śledczej.

Wyciągnąć jednak sam wniosek, to jeszcze mało.

Znając przyczynę choroby, a nie leczyć jej, było by to przecież lekkomyślnością, conajmniej.

Trzeba też czym prędzej wszcząć akcję zapobiegającą dalszemn rozkładowi moralnemu wśród społeczeństwa.

Trzeba się zdecydować jak najszybciej na to. Społeczeństwo bowiem o słabym morale nie może wprost istnieć. Społeczeństwo takie dąży ku zgubie.

Żadne państwo też nie utrzyma się i nie będzie silnym, skoro obywatele tego państwa pozbawieni będą wszelkiej etyki, skoro ich moralność będzie równa zeru.

Naszym zdaniem ma tutaj wdzięczne pole do działania płk. Koc i obóz zjednoczenia narodowego.

Hasło konsolidacji narodowej trzeba połączyć z hasłem odrodzenia moralnego społeczeństwa.

Ignis

Czyżby naprawdę?...

... organizatorzy wystawy kosmetycznej w stolicy nie wiedzieli jak się organizuje tego rodzaju imprezy? Sobotnie „otwarcie" było jednym wielkim skandalem. Oczekująca publiczność bohatersko przetrzymawszy olbrzymie spóźnienie, była narażona na grubiaństwa panów - woźnych, a świeżo zaciągnięte farbą kioski narażały na zmianę barwy ubrania. Pociechą prawdziwą były miłe panie w kioskach firm z wodą kolońską, które urządzały zwiedzającym prawdziwy„ wonny tusz...

*

... pewien milionowy potentat warszawski właściciel licznych kamienic, nie mógł wydać swej córki zamąż? Mimo zachęcań, że jego córka będzie miała: „Krocze!" — „Krocze!" jakoś żaden kandydat nie może się zdecydować. Kandydaci coprawda tłumnie najeżdżają miły domek — „willę" w Śródborowie, ale jak dotychczas, mariażu z tego nie ma.

*

... jeden z mniej wybitnych adwokatów stołecznych, syn bolesnej pamięci lekarza, rozszedł się ze swą żoną? Filar palestry warszawskiej zaprosił niedawno kilku swych kolegów — ex — korporantów, celem wygłoszenia referatu, na temat „Dlaczego się rozwiodłem ze swą żoną?" Referat jednak nie doszedł do skutku, ponieważ miły prelegent zalał się na pestkę z rozpaczy za żoną, a koledzy korporanci z radości, że nie potrzebowali słuchać bzdur.

*

...wydawca pewnego czasopisma filmowego p. J. R. M., nie bardzo orientujący się w sprawach artystycznych, zapytał dyrektora „Casino" po obejrzeniu „Sonaty księżycowej"

„Powiedz no pan, kto tak dobrze gra za tego Paderewskiego?"

*

...pewien publicysta filmowy chciał. w jednym z tygodników umieścić fotos Marty Eggerth-Kiepurowej?. Zgłosił się on w tym celu do filii berlińskiej „UFY" w Warszawie „Warszawskiej Kinematograficznej S. A." i z pomiędzy tysiąca podobizn pięknej artystki wybrał jedną, najbardziej mu odpowiadającą. Fotosu tego za nic w świecie nie chciano mu wydać. Co za oszczędność i zrozumienie interesu własnej reklamy.

Jak się o tym dowie centrala berlińska to napewno nie będzie oszczędzać i telegraficznie rugnie „Warszawską Kinematograficzną", zupełnie zresztą słusznie.

Masoneria a komuna

„Bracia w fartuszkach" w walce z ustrojem społecznym

W Paryżu wyszła niezmiernie interesująca książka pod tytułem: „Francuskie wolnomularstwo a front ludowy". Książka ta zwróciła już dziś uwagę całego świata kulturalnego głównie dlatego, że napisał ją Albert Wigneau, który był kiedyś mistrzem Wielkiej Loży Francji i Vivienne Orland, również głośna postać w kołach antykatolickich.

DWIE KULTURY

W książce między innymi mówi się zupełnie wyraźnie:

„Dwie kultury walczą dziś w Europie o palmę pierwszeństwa Z jednej strony jest to stara kultura chrześcijańska, której zawdzięczamy nasz rozwój, a z drugiej strony jest to fałszywa kultura sowiecka, która w zgodzie i przymierzu z kołami wolnomularskimi międzynarodowymi, zagraża światu całemu rozpowszechnieniem się swej doktryny barbarzyńskiej. Wojna domowa, która toczy się w niespełna 1000 kilometrowej odległości od Paryża zbiera dziś krwawe żniwo, a — to trzeba powiedzieć całemu światu jak najotwarciej — jest ona i we Francji, lecz narazie w stanie utajonym. Wystarczy mały epizodzik, aby się u nas wojna domowa rozpętała na dobre".

Winę za to ponosi wolnomularstwo, albowiem — jak tego dowodzą autorzy — wolnomularzom zawsze zależało na wywołaniu światowej rewolucji, a ideę tę zaszczepiają oni każdej organizacji, która w jakikolwiek sposób pośrednio, czy bezpośrednio, organizacyjnie lub tylko ideowo łączy się z moskiewskim bolszewizmem.

Na międzynarodowym zjeździe masonerii w 1900 r. wytknięty został cel, aby wszystkie narody i rządy świata zostały opanowane przez międzynarodowe wolnomularstwo, bo tylko w ten sposób masonia zdoła ujarzmić wolne siły społeczne i doprowadzić świat do zupełnej emancypacji od kościołów.

WALKA Z „FASZYZMEM"

W świetle tych uchwał możemy sobie dziś jasno zdać sprawę z dążeń francuskich loży masońskich, które za wszelką cenę śpieszą z pomocą wszystkim rewolucyjnym i anarchistycznym związkom w Hiszpanii.

Istnieje również wielkie porozumienie, zorganizowane zresztą w skali światowej, między lożami poszczególnych krajów, które wywieszają na różnych znakach partyjnych „walkę z faszyzmem", a pod słowem faszyzm rozumieją każdy społeczny porządek, oparty na zasadzie uznawania autorytetu.

W końcu książki autor zwraca się z serdecznym wezwaniem do czytelników, aby nie lekceważyli ruchu wolnomularskiego, który może jest śmieszny od strony ceremoniału, obrzędów i dystynkcyj, ale w rzeczywistości jest największym nieprzyjacielem ludzkości, bynajmniej nie mniejszym od komunizmu i przeciwko obydwum trzeba jednakowo walczyć.

Łączność komunizmu z masonerią jest dziś przedmiotem rozważań największych i najpopularniejszych dzienników świata, broniących ładu i porządku społecznego, a przede wszystkim stojących na gruncie kultury i cywilizacji chrześcijańskiej.

UCHWAŁY KONGRESU

„Popolo di Trieste" pisze o tym, że masoni bardzo gorliwie popierają komunizm.

Według „Correspondenzy" odbył się w Czechosłowacji kongres wolnomularskich stowarzyszeń, na którym poszczególni delegaci wygłosili informacyjne referaty o sytuacji wewnętrznopolitycznej i postępie ateizmu we wszystkich krajach europejskich,

Kongres uchwalił udzielić daleko idącego poparcia wszystkim komunistycznym związkom i organizacjom, ponieważ komunizm walczy z katolicyzmem i w ogóle z religią, a szczególnie godzi w propagandę jezuicką, a wreszcie dlatego, że komunistyczna propaganda najlepiej trafia do mas. Komunizm może skutecznie wpływać na poglądy warstw najniższych i tym samym torować drogę wpływom wolnomularskich organizacyj,

Jakże to charakterystyczne dla tej kategorii mętnych ideologów, nawet pośród pół — i ćwierć — inteligencji, która szuka łączności ideologicznej między katolicyzmem, a komunizmem.

U nas mieliśmy przykłady takiego opacznego rozumowania niedawno wśród przywódców komunizujących akademickiej organizacji katolickiej „Odrodzenie" w Wilnie.

Trzeba więc wszędzie głosić i udowadniać, że komunizm, który w swym programie ma tylko cele materialne, szuka odrodzenia świata poprzez krwawą rewolucję, a środki na tę wywrotową pracę czerpie od burżujów z lóż masońskich.

Sza-sza

Poszedł Maresz na jarmarek...

Zasługi „świetnego" pracowca

Nie dawno zwracaliśmy uwagę publiczną na wielkie niedomagania propagandy jugosłowiańskiej w Polsce, która zupełnie nie docenia potrzeby zapoznawania Polaków ze stosunkami politycznymi w Królestwie Jugosławii, a rezultat jest taki, że prasa przeważnie informuje opinię przez okulary rzymskie, wiedeńskie, paryskie, a nawet praskie, a nie białogrodzkie.

PÓŁ-CZECH

Na szczęście apel nasz o zmianę na stanowisku attaché prasowego — jak nas poinformowano — dotarł bezpośrednio do p. premiera dr. Stojalinovića i p. Maresz, który zresztą nigdy do korpusu dyplomatycznego nie należał, został przeniesiony już do Pragi. Jest to tym słuszniejsze, że jest on pół-Czechem i swego czasu podobno zabiegał o uzyskanie obywatelstwa czechosłowackiego, ale pozostał przy obecnym, kiedy ostatecznie otrzymał lukratywną posadę...

Ktoś usłużny pomieścił w kilku pismach „nekrolog pożegnalny" dla p. attaché, pisząc, że przez 12 lat wiele on rzeczy dokonał, a skoro w ten sposób się salwowano — musimy i my coś więcej na ten temat powiedzieć.

„CHLUBNA" DZIAŁALNOŚĆ

W ciągu 12 lat ostatnich może było 2 lub 3 numery periodyków poświęcone Jugosławii, mimo, że kraj ten ma u nas tylko zwolenników i przyjaciół.

W ciągu 12 lat p. Maresz stale współdziałał z Czechami, a na terenie towarzystw, do których tu należał, tak się angażował w obronę Czechów, że przestano go uważać za Jugosłowianina.

W ciągu 12 lat p. Maresz był obcy tutejszej kolonii, a nie zdołał sobie zaskarbić niczyjej sympatii.

Legenda o jego dziennikarstwie — dla nas pozostanie legendą, bo o samodzielności poczynań chyba pan „inżynier" „made in Czechosłovakia" nie zamarzy...

ZANIEDBANIE

A trzeba stwierdzić bezstronnie, że sprawa przyjaźni polsko-jugosłowiańskiej jest w kompletnym zaniedbaniu. To, co było w radio — to jest zasługą jednego studenta, niejakiego Balabanovića Dymitra. Biblioteka Jugosłowiańska, wydawana przez prof. Benešića, jest zasługą niejakiego p. Halbhillona, przemysłowca z Wołynia, który (omen nomen) dał pół miliona i... dostał wysoki order jugosłowiański, ale ostatecznie ta propaganda dotyka tylko polskich szczytów kulturalnych. Uniwersytecki lektorat funkcjonuje z dużymi przerwami i liczy chyba kilka... słuchaczek. Lektorat w Instytucie Wschodnim jest zasługą tegoż in-

(dalszy ciąg na str. 6-ej)

Dokąd warto, dokąd nie

Teatr — rewia — kino

„MAŁŻEŃSTWO" (*teatr Kameralny*). Wszyscy mężowie „niezrozumianych" żon powinni czym prędzej zabrać swe lepsze połowy do teatru Kameralnego. Pożądanymi przy tym byłoby również zaprosić z miłym uśmiechem i przyjaciół domu.

Skutek jest pewny. Żony przestaną być „niezrozumiane" przez domowych tyranów i despotów, a przyjaciele domu szybko zrezygnują ze swej roli.

Doskonała węgierska komedia, przedstawiająca sposoby męża na pozbycie się niepożądanego „amanta" i odzyskanie miłości swej żony, szczerze nas bawi.

Potęguje jeszcze wrażenie sytuacyj scenicznych (tak niejednokrotnie życiowych) świetna gra Adwentowicza, któremu dzielnie sekundują Grywińska i Różańska. Z reszty poprawnie grającego zespołu, wymienić należy Fischerównę, Balcerzaka i nieznaną aktorkę, grającą epizod Lu.

Warto iść do Kameralnego, choćby się miało wydać ostatnią złotówkę.

„NAGRODA LITERACKA" (*Teatr Nowy*). Miła ta i bezpretensjonalna komedia cieszyć się będzie niewątpliwie dużym powodzeniem. Zabawna bowiem historia, gdy utalentowany pisarz kryje się za swym „przyjacielem", który nic nie robiąc, tylko „reprezentując" uzyskuje sławę i fortunę, szczerze bawi. Zwłaszcza, gdy literatem z nieprawdziwego zdarzenia jest Leszczyński, który stworzył ze swej roli kapitalną wprost postać. Dzielnie mu sekunduje Hnydziński, jako instruktor „dobrego" wychowania fizycznego i zarazem prawdziwy literat, który przez swój eksperyment omal nie traci ukochanej kobiety.

Z ról kobiecych na pierwszy plan wysuwa się Krzymuska w roli totumfackiej służącej Marty. Dobrą przesadnie babunią była Dulęba. Świetna w epizodzie zakochanej sekretarki Kitajewska.

Blado natomiast wypadła artystka tej miary co Lubieńska. Być może, że nie odpowiadała jej rola narwanej i histerycznej panny, egzaltującej się sławą swego przyszłego „pana i władcy".

„Nagroda litaracka", będąc utworem kobiety bezlitośnie właśnie wykpiwa płeć piękną, uwypuklając wszystkie „miłe" cechy swego rodu.

Może tylko przemiła autorka zbyt łatwo i wyrozumiale przebacza błędy swych bohaterek. *en.*

„MOSKWA-SZANGHAI" (*kino Filharmonia*). Jest to jeden z licznych filmów „pociągowych", w którym bohaterów akcji, wywlekają za mordę z wagonów, żeby ich potym wykończyć.

To samo ma się ochotę zrobić z realizatorami tego filmu, którzy nawet z Poli Negri, dzięki nieumiejętnej charakteryzacji i oświetleniu zrobili Bóg wie co.

Tłem akcji jest walka białych z czerwonymi. Na zakończenie, nieodzowny chór kozacki.

„NIE UFAJ MĘŻCZYŹNIE" (*kino Rialto*). Dwaj dziennikarze (Clark Gable i Franchot Tone) rywalizują między sobą o informacje. Przy okazji odbierają szpiegom dokument wplątując się przez to w niesamowite przygody. Ponieważ jednak, jeden z nich przywłaszczył sobie samolot, mają oni przeciwko sobie i policję i szpiegów.

Film jest wyreżyserowany znakomicie, a pełne humoru sytuacje czynią go niezmiernie wesołym. Taki epizod, jak w komnacie Ludwika XIV-go, gdzie trochę zwariowany dozorca bierze przebywających tam za duchy, z którymi zawiera przyjaźń — to szczyt dowcipu i reżyserii. Jeżeli do tego dodamy jeszcze grę Joan Crawford, to w sumie musimy uznać ten film za najlepszy z granych obecnie w Warszawie.

„TAŃCZĄCY PIRAT" (*kino Roma*). Kolory w tym filmie są nieprzejaskrawione, a przez to samo o wiele przyjemniejsze, w oglądaniu, niż inne. „Tańczącym piratem" jest nauczyciel tańca, który po ucieczce z okrętu pirackiego robi karierę na jakiejś egzotycznej wysepce. Doskonale sparodiowane są tam sceny walki z jedynym piratem, którego biorą za straż przednią całej wyprawy. Sceny taneczne pierwszorzędne, a całość lekka i bezpretensjonalna.

„JEDNA NA MILION" (*kino Stylowy*). Coraz więcej zawodowym aktorom filmowym czynią konkurencję rozmaite znakomitości zaangażowane z racji swej sławy. Widzieliśmy mistrza boksu, pływaczkę Anette Kellerman, Paderewskiego w filmach specjalnie dostosowanych. Obecnie, w „Jedna na milion" oglądamy Sonię Henie, światową rekordzistkę łyżwiarską.

Jej piruety, wiraże, holendry są nadzwyczajne, a reszta filmu, dzięki Adolfowi Menjou, Hersholtowi na poziomie.

Dzięki filmowi temu możemy napatrzeć się na tę mistrzynię dosyta i zapoznać się z międzynarodowymi stosunkami sportowymi. *X. 27.*

Kesten-Film

W marcu ubiegłego roku powstaje w Warszawie nowa placówka wynajmu filmów p. f. „Kesten Film". Założył tę placówkę p. Manto Kesten. Placówka ta zajmuje się wyłącznie wynajmem filmów. „Kesten-Film" sprowadza filmy wiedeńskie, francuskie i angielskie.

Ostatnio „Kesten-Film" sprowadził film francuski „Nitchewo", który w polskim brzmieniu nosi tytuł „Krew na morzu" i w krótce ukaże się na ekranie kina „Roma"

„Kesten-Film" sprowadził jeszcze między innymi film „Robinzon Kruzoe", który niewątpliwie cieszyć się będzie wielkim powodzeniem. Mimo, że „Kesten-Film" istnieje dopiero od roku, zdobył sobie zasłużoną markę w branży filmowej.

K.

„Devotio"

„Devotio" jest to spółka z o. o. która postawiła sobie za zadanie zorganizować handel i przemysł dewocjonalniany, żeby przejąć tę dziedzinę w ręce katolickie. „Devotio" powstaje z inicjatywy zjednoczenia katolickiego, którego prezesem jest ks. dr. Stanisław Trzeciak. Inicjatywę tę podjął dr. Stefan Belina-Brzozowski, który stanął na czele przedsiębiorstwa.

„Devotio" usilnie stara się o posiadanie tych wszystkich artykułów, które są niezbędne dla kultu religijnego katolickiego i które pochodzą wyłącznie z firm wybitnie chrześcijańskich.

„Devotio" mieści się obecnie w skromnym lokalu, ale nie wątpimy, że w krótkim czasie rozwinie się odpowiednio do liczby katolików w Polsce, stwarzając zarazem coraz to nowe swe filie.

K.

Jak to na wyścigach ładnie...

Za tydzień randez-vous amatorów totka

Za tydzień już zaludni się pole mokotowskie. Za tydzień bowiem rozpocznie się sezon wiosenny wyścigów konnych w Warszawie.

Jak co roku, stali bywalcy toru stołecznego pospieszą

tłumnie do kas

w nadziei szybkiego osiągnięcia fortuny.

Jak w latach ubiegłych, tak i w tym roku podniesiono gwałt o wyrzucenie wyścigów poza obręb miasta, do Służewca.

Stara ta piosenka powtarza się systematycznie co wiosnę.

Nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że

stara ta piosenka

jeszcze nie prędko zostanie urzeczywistniona. Składa się bowiem na to zbyt dużo przyczyn, natury zasadniczy.

Tor wyścigowy stanie się wtedy dopiero zawadą w rozwoju stolicy, gdy rozpoczęte zostaną na dobre prace przy budowie arterii im. Marszałka Piłsudskiego.

Olbrzymia ta arteria uliczna, biorąc swój początek z placu na Rozdrożu ma biec przez tereny Min. spraw wojskowych, przetnie

ulicę Marszałkowską,

zetnie oficyny domu Lardellego i przez tor wyścigowy i lotnisko wyjdzie po za miasto.

Budowa tej arterii jest niewątpliwie sprawą niezmiernie ważną dla dalszego rozwoju stolicy. Tyle jednak trudności i tyle pracy wymaga pierwszy odcinek jej budowy: plac na Rozdrożu — ul. Polna, że zapewne dopiero

za parę lat

tor wyścigowy i lotnisko stanie na przeszkodzie w dalszej budowie.

Tymczasem natychmiastowe usunięcie toru wyścigowego z obrębu miasta na Służewiec jest po prostu niemożliwe.

Przede wszystkim bowiem, aby uruchomić nowy tor na Służewcu, trzeba zapewnić tym wszystkim, którzy są stałymi bywalcami na wyścigach, *dogodną komunikację.*

A jest to sprawa niezmiernie trudna do rozwiązania, skoro się zważy, że przeciętnie w dniu wyścigowym

odwiedza tor

od 10 — 30 tysięcy osób!

I dziś nawet, choć wyścigi są prawie w centrum, mają tyle linii tramwajowych i autobusowych, wiemy co się dzieje w chwilach przed i po wyścigach. Tramwaje, autobusy są przepełnione, a jeszcze

całe tłumy

idą piechotą.

Zapewnienie za tym amatorom sportu konnego i totka komunikacji jest rzeczą pierwszorzędnej wagi. Gdyby bowiem komunikacji na Służewiec nie zapewniono, totalizator mógłby (o ironio!) stać się deficytowym...

Wielu, niewątpliwie, grałoby wtedy w sklepach na mieście. Ale mijałoby się to z celem propagandy sportu konnego wśród społeczeństwa. Sklep przecież i postawienie swej stawki w nim, może spełniać swą rolę wtedy, gdy amator wyścigów, nie mogąc być w danym dniu na torze, chce jednak postawić na swój „typ". Takie rzeczy mogą się zdarzyć raz lub dwa razy.

Hazard! Tyle się mówi i pisze o hazardzie popularnego „totka". Niestety, wyścigi bez „totka" są nie do pomyślenia.

Smutna prawda, lecz tym nie mniej jest prawdą, że nasza hodowla koni

utrzymuje się

tylko dzięki wyścigom i totalizatorowi. Dzięki temu też armia nasza może mieć odpowiedni materiał koński.

Wielu niewątpliwie zainteresują dane, dotyczące obrotów totalizatora. Otóż, według statystyki za 1936 r. — obrót totalizatora wyniósł 36.241.385 złotych, z tego jednak 86 procent wróciło do kieszeni graczy, a Tow. zachęty do hodowli koni w Polsce pozostało 14 procent, to jest 5.073.734 złote.

Z tej sumy jeszcze otrzymało min. rolnictwa 1.081.241,55 zł., zarząd miasta i Fundusz Pracy po 362.413,85 zł., a na nagrody i premie wydano 2.774.832,65 zł.

Jak za tym widzimy z tych interesujących cyfr statystycznych,

hodowlę koni

w Polsce podtrzymuje, stosunkowo nie duża suma, nie całych 3 milionów złotych, przeznaczonych przez Tow. na nagrody i premie dla hodowców.

Przeniesienie raptowne na Służewiec toru wyścigowego, tę nie wielką sumę mogłoby jeszcze zmniejszyć i wtedy wielu, niewątpliwie, hodowców znalazłoby się w kłopotliwej sytuacji, a wielu stanęłoby przed alternatywą zlikwidowania stajni.

A to zapewne nie leży w niczyim interesie. Rozwój hodowli konia jest dla Polski

problemem równie ważnym,

jak motoryzacja. Armia bowiem potrzebuje tak dobrych samochodów, jak i dobrych koni.

Nie bójmy się jednak starej wiosennej piosenki o Służewcu. Jeszcze nie raz będziemy się emocionować przebiegiem gonitw na torze przy ul. Polnej. Tor wyścigowy nie może przecież być przeniesiony w inne miejsce, dopóki nie zapewni się amatorom i miłośnikom sportu konnego odpowiedniej komunikacji.

A rozwiązanie tej sprawy zajmie jeszcze wiele czasu. Ten.

(dokończenie ze str. 5-ej)

stytutu i wykładowcy dr. Durkovića który jest osobą prywatną i, z głodu przymierając, zdobywa krwawo trzeci fakultet.

Katedry na Uniwersytecie mają Węgrzy, nawet Rumuni będą mieli studium. O Włochach nie mówmy, bo posiadają świetnie urządzony Instytut. A Jugosłowianie — są wciąż kopciuszkiem.

BRAK PROPAGANDY

Najgorzej jest z propagandą prasową.

W Poznaniu — świetny organizator p. Woźniak i inni — stworzyli jeszcze „Przegląd Polsko - Jugosłowiański" dla informowania prasy, ale w Warszawie nic.

To wszystko jest za mało.

Do Jugosławii jeżdżą co roku turyści polscy w setkach, tysiącach ludzi — każdego miesiąca. Z Jugosławią handlujemy. Podobno istnieje jakaś w Warszawie Izba Handlowa Polsko-Jugosłowiańska, o której nic się naogół nie słyszy.

A dlaczego?

Dlatego, że sami Jugosłowianie nie dbają i nic nie robią dla interesowania Polski swą Ojczyzną. Do Warszawy muszą przyjechać działacze kulturalni i prawdziwi dziennikarze. Tu trzeba nauczyć jęz. serbochorwackiego większe grono ludzi. Wśród dziennikarzy polskich jest mnóstwo chętnych i życzliwych. Ale trzeba na miłość Boską coś robić. To chcemy powiedzieć czynnikom białogrodzkim.

Dobrze się stało, że p. Maresz pojechał do swojej... Pragi.

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9.— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr. nadesłane 1 zł.: Komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Poznańska Nr. 38 m. 15, tel. 716-09. Administracja czynna codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 9 do 13 i od 15 do 18. Konto w P. K. O. Nr. 60.078

Redaktor **Henryk Sieciński** Wydawca **Wilhelm Tokarzewski** Druk. „Kolumna" Warszawa, Nowy Świat 39